

Węgałty: śpiewy, tańce i łamańce

Czarowna noc

Przed dworcem w Olsztynie czeka na publiczność zdezelowany autobus oraz Przewodnik z Latarnią. Latarnia stojenna, ze świecą, od razu przyciąga wzrok wśród światła banalnych jarzeniówek. Jedziemy, zrazu szosą, potem polną drogą, wysadzają nas pod lasem, w ciemnościach zupełnych; idziemy za Przewodnikiem przez majaczące w mroku łąki i zagajniki, wśród krajobrazu, którego urody można się tylko domyślać w zamglonej listopadowej nocy.

Jacek Poprzeczko

Stajemy przed Chatą, właściwie przed Stodołą, chociaż trudno powiedzieć, bo na polu tylko drewniana, z wielkimi, owszem, w tej drewnianej części dźwierzejami i prawdziwym klepiskiem. Druga część jest murowana, wchodzi się naprzód do sieni, gdzie stół, ławy, ciemny kredens i lepiony z gliny, pobielany kominek. Po pewnym dopiero czasie, gdy dziewczyny z naszej gromadki zdążyły już sobie poszeptać o jakiejś Kaśce, co jej się nietoperz wkręcił we włosy, otwierają się drzwi w głębi na prawo i oto jesteśmy w Sali, czyli w Teatrze.

Nielubiani w mieście

Podłoga z pięknych jasnych desek, niskie ściany ze starej cegły, a na nich osadzony zbiegający się w kształt wysokiej, ściętej piramidy drewniany sufit. Płoną świece. Zaczyna się spektakl Teatru Wiejskiego Węgałty – „Gospoda ku Wiccznemu Pokojowi”, wedle fabuły wziętej z „Doliny Issy” Miłosza.

Czym jest ten spektakl, czym jest ten teatr? Słuszniej będzie poprobować naprzód odpowiedzieć na to drugie pytanie, które zawiera w sobie wiele innych. Takiemu jak ja mieszcuchowi teatr instynktownie (a i historycznie) kojarzy się z miastem, jest szczytowym wykwitem miejskiej kultury, więc już niby wszystko czuję, wszystko rozumiem, bo uległem czarowi tego miejsca i dalekiej do niego drogi, ale ciągle gdzieś z tyłu głowy kołaczę się podejrzenie, że owe wiejskie teatry, jak Gardzienice czy Węgałty właśnie, że to wystawianie Miłosza, zmieszanego w dodatku z Johannesem Bobrowskim i Mikołajem z Wilkowiecka, na tym pustkowiu pod lasem, to są może jakieś inteligentkie fanaberie, jakieś narodnikowskie „chodzenie w lud”, zresztą gdzie tu lud, nawiasem mówiąc, skoro do najbliższej chałupy będzie dobry kilometr.

Jeszcze nim wyłuszczyłem te podejrzenia Wackowi Sobaszkowi, reżyserowi Węgałt, w rozmowie – już mnie Wacek pognębił Arystotelesem, którego

cytuje w programie spektaklu. „Pisze Arystoteles: »Nielubiani w mieście chodzili od wioski do wioski...« Tanci to aktorzy stworzyli »komedię«, od kãta kómas: chodzić z wioski do wioski. Mamy i my »komedię« spektakl, który powstał z naszego chodzenia po wsiach. Zaczął powstawać – w fazie zarodkowej – we wsiach Północy, zwłaszcza ważny był pobyt we wsi Dziadówek w kwietniu 1990 r. i spotkanie z jej mieszkańcami. Lecz może bardziej istotne jest to, że budulcem spektaklu są pieśni, by tak rzec »chodzone«, praktykowane podczas chodzenia po odpustach, po »alilujce«, po weselach i pogrzebach”.

Wacek i jego żona Erdmute, Niemka, córka pastora, który z RFN przeniósł się był do NRD, bo tam czuł się bardziej potrzebny, też byli „nielubiani w mieście”. Mieszkali w Olsztynie, na przełomie lat 70. i 80. prowadzili dom kultury zwany „Pracownią”, a w nim teatr w stylu commedia dell'arte, też wędrowni, uliczni, ale wszakże miejski. W czasach po wprowadzeniu stanu wojennego „Pracownia” i jej animatorzy stali się z racji swych sympatii politycznych źle widziani, odebrano im lokal. Trzeba się było gdzieś podziać, robić coś innego. W takich to okolicznościach rodził się pomysł na Węgałty. Ale dziś już Wackowi trudno odtworzyć dokładną genezę tego pomysłu, powiada, że z perspektywy czasu zaciera się on gdzieś we mgłę. Bardziej niż na polityczne perturbacje, skłonny jest dziś wskazywać na upodobanie do teatru wędrownego, i na rodzinne tradycje, które też miały swój udział w tym, że osiedli z żoną w odległych od Olsztyna o 20 kilometrów Węgałtach.

Misteria, kantyczki, kołomyjki

A co sprowadziło na to ustronie drugą międzynarodową parę, Wolfganga Nichausa i jego polską żonę, Małgosię z domu Dzygadło, bo właśnie we czwórkę zaczęli tworzyć ten teatr? Wolfgang urodził się w Monachium, wciąż ma obywatelstwo niemieckie, mieszkał w Austrii, w Tyrolu. Do Polski przyje-

chał, gdy przeżywała „okres największej w świecie świetności teatralnej”. Był na stażu u Grotowskiego, potem, razem z Małgosią, byli w Gardzienicach, w czasie tworzenia spektaklu „Żywot protopopa Awwakuma”. Do Węgajt ściągnęli, żeby żyć inaczej i robić inny teatr, bo, jak powiada Wolfgang, wbrew pozorom podobieństwa między Gardzienicami a Węgajtami są tylko powierzchowne. Tu i tam jest „teatr wiejski”, wyprawy i zafascynowanie ludowym obyczajem, ale wyprawy i penetrowanie ukrytych obszarów kultury nie są wszakże jakimś nowym czy wyrażeniem komuś przypisanym wynalazkiem, odbywał je i Grotowski, i Barba, każdy robi to po swojemu, szuka po swojemu. Węgajty w porównaniu z Gardzienicami są bardziej „wiejskie”. Życie na wsi, powiada Wolfgang, to nie jakiś romantyzm, to inny rytm. *W Gardzienicach jest raczej rytm miejski przeniesiony na wieś. Tu zresztą też właściwie nie jesteśmy na wsi, jesteśmy w krajobrazie, krajobrazie kultury.*

Ale ten krajobraz to wszakże też i wieś żywa i żywi w niej ludzie, których opowieści i pieśni słucha się w czasie wędrowek. Trzeba wrażliwości i przenikliwości, by dostrzec ten krajobraz, trzeba go nieraz odtwarzać, odszukując i rekonstruując dawne pieśni i obrzędy. Artyści z Węgajt również ten krajobraz współtworzą, pomagając „okolicy sąsiedzkiej” w urządzaniu świetlicy, organizowaniu kapeli, dziecięcego zespołu muzycznego. Zaś w swoich wędrowkach bliskich i dalekich – po północnych obszarach Olsztyńskiego, na Suwalszczyznę, w Bieszczady, Beskidy, na Huculszczyznę, odnajdują wielorakie bogactwo tradycji, pieśni weselnych i pogrzebnych, misteriów bożonarodzeniowych i wielkanocnych, pasji różańcowych, suwalskich i wileńskich kantyczek, pieśni rekruckich i dziadowskich, huculskich kołomyjek...

Z tych to materii, splecionych z literackimi wątkami fabularnymi, rodzą się spektakle – najpierw „Historie Vincenza o Prawdziwym Żydzie, Antychryście i Preoświąszczonym Metropolicie” według Stanisława Vincenza, a potem wystawiana od dwóch lat „Gospoda”.

Można się zastanawiać, czy nie jest

to połączenie cokolwiek sztuczne. W „Gospodzie” ekspresja tego, co grane i śpiewane, przeważa jakby nad mówionym słowem i niesionym przez nie przesłaniem. Wątek fabularny – historia Magdaleny z „Doliny Issy” – gubi się i zaciera, nie jest też klarowny, przy najmniej przy pierwszym oglądaniu spektaklu, wątek filozoficzno-teologiczny. Ale wszystko razem ma swój niepowtarzalny nastrój, biorący się stąd między innymi, że istnieje jakiś naturalny związek między literaturą wykwitłą z obszarów „pogranicznych”, „kresowych”, z właściwego im przemieszania kultur, a wplecionymi w spektakl pieśniami i muzyką, które też są takiego przemieszania manifestacją.

Zabawyienne i nocne

– Spektakle commedia dell'arte – mówi Wacek Sobaszek – przechodziły w tańce i wspólną zabawę z widzami. Tak jest do dziś na przykład na Dalekim Wschodzie – w Chinach, w Indiach. Spektakl i zabawa – to całość. Święto.

Pięknie się sprawdza ta filozofia w Węgajtach. Po chwili przerwy, spacerów przed chałupą, palenia papierosów, artyści nieśpiesznie wracają między widzów, zaczynają się pogwarki, potem muzykowanie, śpiewy, tańce, ciągnie się to wszystko długo w noc. Bije ciepło od pobielanego pieca, palą się świece, błyszczą oczy dziewczynom, artyści z Węgajt pięknie grają. – Aktor powinien być muzykiem – mówi Wacek. Instrument powinien być dla niego jakby częścią ciała. U początków tego teatru od razu postanowiliśmy sobie, że każdy musi na czymś grać.

No więc grają, śpiewają, a publiczność razem z nimi. Tym razem publiczność jest dość specjalna, bo w Węgajtach odbywa się międzynarodowe seminarium teatralne „Bliższe ojczyzny”, więc mamy tu i Litwinów, i Rosjan, i Białorusinów, i w ogóle przemieszanie kultur, jak u Vincenza z Miłoszem.

Świetlana Buckaja – moskwianka, muzykolog, doktorat z muzyki cerkiewnej, zaprzyjaźniona z Węgajtami od czterech prawie lat, mówi, że do Polski ciągnie ją to właśnie, że tu jest obszar przenikania się różnych kultur. – Czy

to trzeba do Polski jeździć? – pytam podstępnie. – W Paryżu też przecież kultury się przenikają. – Tak, ale tam – Południa i Północy, i nie tyle się przenikają, ile istnieją obok siebie, a tutaj – Wschodu i Zachodu, i rzeczywiście się mieszają, taka już wasza i nasza, z prze-proszeniem, *bardacznaja mentalnost'* i w tym cały urok.

Święta prowadzi w Węgajtach warsztaty ze śpiewu, na tym seminarium będzie uczyć czastuszek. Co to takiego śpiew?

– *To harmonizowanie człowieka samego z sobą. Wewnętrzny świat człowieka może się wyrazić przez głos. To także harmonizowanie kręgu ludzi. W śpiewie najważniejsza jest jakość duchowa, może powstać harmonia, chociaż ktoś tam trochę fałszuje, a inny nie dociąga.*

Seminaria – to jedna z form działalności Węgajt, nie mniej ważna, niż spektakle, wyprawy i warsztaty aktorskie. W Węgajtach nic nie jest zwyczajne, więc i na seminariach dzieją się rzeczy niezwykle. Doktora Antoniego Sodułę, założyciela Teatru Religijnego w Lutrach koło Biskupca, autora filmu o ginących cmentarzach Warmii i Mazur, przeproszam za nieumyślne kopnięcie w ucho w trakcie straszliwego, jakichś łamańców, do których wszystkich nas przymuszono w ramach warsztatów teatralnych. Panu Tomaszowi Łubieńskiemu, znanemu krytykowi teatralnemu, składam wyrazy uznania za niezwykle maestrię okazaną w tańcach litewskich „Szewc” oraz „Oj, niedobrze dziewczynko”. Pani Oli Pietraszewskiej, opiewanej już przez Piotra Bikonta w utworze „Najlepsza miła w okolicy”, specjalne podziękowania za gołąbki z kaszy jęczmiennej oraz niezwyklej dobroci ogórki kwaszone.

Przyjeżdżają do Węgajt artyści rozmaici, z kraju i ze świata, poważni specjaliści i młodzi entuzjaści. Ma ten teatr, to miejsce, swą wdzięczną publiczność, bo chętnie się tu wraca: Ja tu przyjeżdżam – mówi Sylwia, licealistka z Bydgoszczy – żeby pobyć w innym świecie. – A ja – powiada inna dama, co dawno już szkoły pokoińczyła – żeby się odbryknąć. Myślę, że obie panie głęboką mają rację. □